

Błażej Skrzypulec

Krótki kurs tworzenia metafizyk wszelakich

Zapewne wielu adeptów sztuki filozofowania marzy o stworzeniu własnej, niepowtarzalnej metafizyki. Niniejszy poradnik ma za swój cel wskazać wszystkim poszukującym, ścieżkę szybką i łatwą, jednakowoż niezwykle skuteczną i do celu niechybnie prowadzącą. Przygotowania bynajmniej nie są kosztowne. Do stworzenia metafizyki potrzeba czasu (w ilości ok. 45 min.), drogi (na końcu może znajdować się jakiś cel, choć nie jest to konieczne), nóg (zalecane dwie), które będą przemierzać drogę w czasie oraz Słowa, które na drodze znajdziemy, i z którego cała metafizyka nam dorodnie wyrośnie. Ponieważ przykład jest tym, co najlepiej do rozumu przemawia, ukażemy narodziny nowej metafizyki za pomocą scenki rodzajowej.

Pewien filozoficznie nastawiony do świata człowiek w ciepłe letnie popołudnie, korzystając z nóg swoich, wyrusza na ulice miasta, by ontologię nową skonstruować. Idzie prosto przed siebie, skręca w lewo, rozgląda się, coś mu się przypomina, coś zapomina bezpowrotnie, myśli czy o czymś nie pomyśleć, a o czymś innym nawet nie chce myśleć, że myśleć o tym mógłby. I wtem napotyka on na odpowiednie Słowo. Nasz bohater ma akurat niezwykle szczęście, gdyż Słowem, na które trafił było „jestem” - dobre Słowo, bez wątplenia wskazujące na pewien byt rzeczywisty, a nie tylko pomyślany, o określonym, intuicyjnie rozumianym znaczeniu w mowie potocznej. Przy takim Słowie, od razu, dla dodania sobie animuszu, *Cogito ergo sum!* można zakrzyknąć i podpartym o autorytet Kartezjusza będąc tym śmieiej metafizyczne ziarno zasiać. Co z niego wyrosnąć może?

Jeśli jestem, to jest jakieś ja, które jest. Nazwijmy to „jestestwem”.



Istnieją również inne byty, z którymi wchodzimy w interakcje tak jakby były odmiennymi od nas „jestestwami”. Nazwijmy je „tystestwami”. Poza tym wskazać należy na byty, co do których jedynie sądzimy, że są innymi „jestestwami”. Nazwijmy je „stestwami”. W tym miejscu należy plantatorom przyszłych metafizyk udzielić porady natury praktycznej. Stosujmy liczne neologizmy i budujmy rozbudowaną a niepowtarzalną terminologię, a także starajmy się używać jak najbardziej abstrakcyjnego języka, unikając konkretnych przykładów. Dzięki temu nasz system sprawi wrażenie oryginalnego i głębokiego, otworzy się pole do późniejszych licznych interpretacji (o korzyściach z tego płynących wspomnimy jeszcze poniżej), a wielu naszych czytelników uzna, iż jeśli czegoś nie sposób zrozumieć, to głupie być to nie może.

Czy możemy w sposób oczywisty i niepodważalny stwierdzić, że uznawane przez nas „tystestwa” i „stestwa” rzeczywiście istnieją? Oczywiście nie (wszystkich opornych należy bezzwłocznie potraktować bogatym arsenałem bojowym sceptyków). Czy wobec tego istnieje jakieś inne kryterium istnienia „jestestwa” niż takie, że jego istnienie jest uznawane przez inne „jestestwa”? Oczywiście nie. Istnieć, znaczy w takim razie nie więcej, niż być uznawanym. Nie być uznawanym, to, to samo, co nie istnieć. Wszystkie „jestestwa” dążą do tego, by uznawały je inne „jestestwa”, a bycie dla innego „tystestwem” jest istnieniem mocniejszym, niż bycie dla niego wyłącznie „stestwem”. Istnienie „jestestwa” jest wobec tego tym mocniejsze, im dla większej liczby innych „jestestw” jest „tystestwem”, a najcenniejszymi partnerami są dla niego naturalnie

1
2
3LATO
2006

O NAS

KONTAKT

SPIS TREŚCI

ARCHIWUM



LATO
2006

te „jestestwa”, które same są uznawane za istniejące przez jak największą liczbę pozostałych „jestestw”.

Czy jestestwo, którego nikt by nie uznawał, przestałoby istnieć? Czy może wegetowałoby prowadząc jakąś nędzną egzystencję, dzięki zachowaniu zwrotnej relacji uznawania samego siebie? Na takie pytanie trudno od razu jednoznacznie odpowiedzieć. Nie powinniśmy jednak luk i niejasności, jakie zauważamy podczas budowania naszych metafizycznych systemów, traktować jako zagrożenia - należy dostrzec w nich szansę! Nic gorszego dla twórcy niż idealny system. Taki na nic się nie przyda nikomu i od razu zostanie odrzucony. Dzięki popełnionym błędom koncepcja nasza będzie rozwijana, dekonstruowana i na nowo interpretowana. Rzesza przyszłych komentatorów poprawiając nas uzyska sławę i uznanie, a wiedząc, że dzięki nam pozycję swoją uzyskali, orzekną, iż byliśmy wielcy oraz mądrzy.

Innym elementem, o którym żaden szanujący się wytwórca metafizyk zapomnieć nie może, jest materia. Niezliczone są sposoby w jakie można się do niej odnieść, a każdy wybór w tej kwestii może mieć niebagatelny wpływ na dalsze losy systemu (nie wspominając już o tym, że wielu znajdowało ją jako Słowo na swej drodze i niemałe rzeczy im z niej potem powyrastały). Osobiście polecam eleganckie, skrajnie monistyczne rozwiązania. Powracając do omawianej metafizyki: materia nie istnieje. Wszystko, co za nią uważamy, to w rzeczywistości jedynie niematerialne wyobrażenia stwarzane przez jedne „jestestwa” i odbierane przez inne, w celu zwiększenia szans na bycie uznanym za coś istniejącego. „Jestestwa” istniejące mocniej, poprzez powszechniejsze uznanie ich istnienia ze strony innych, są w stanie stwarzać i skutecznie narzucać bardziej „spektakularne” wyobrażenia, przez co ich istnienie może ulec dodatkowemu wzmocnieniu. W stabilnych sieciach związków pomiędzy „jestestwami” (gdzie wiele „jestestw” uznaje się wzajemnie) wyobrażenia wytwarzane przez te „jestestwa” są powszechnie przyjmowane i stają się

sposprzeżeniami intersubiektywnymi. Gdy jednak większość „jestestw” przestaje uznawać inny byt za podobne sobie „jestestwo” (np. *on jest niespełna rozumny*), przestaje również przyjmować wytwarzane przezeń wyobrażenia (np. *on słyszy głosy, których naprawdę nie ma*). Wybór monistycznego charakteru metafizyki przynosi zazwyczaj twórcy długotrwałe korzyści. Wobec skrajnego immaterialistycznego stanowiska prędzej czy później uformuje się materialistyczna opozycja, obie strony konfliktu stworzą własne szkoły, mistrzów i epigonów, a szczęśliwie bezowocna walka zapewni obu doktrynom długi żywot. Tylko to, co rozsądne, szybko się kończy.

W celu zapewnienia uznania własnego istnienia „jestestwa” stosują różnorakie strategie. Jedną z najpopularniejszych jest tzw. „miłość”. Dwa „jestestwa” uznają się wzajemnie w sposób na tyle mocny, iż każde z nich staje się dla drugiego czymś więcej niż zwykłym „tystem”. W takim

układzie jedno jest po części tożsame z drugim, a drugie z pierwszym, jednak pomimo tego nie tracą one całkowicie własnej odrębności. Utworzona w ten sposób *diada* istnieje znacznie mocniej od tworzących ją części. Zazwyczaj jest nawet w stanie uznać istnienie jednego lub kilku „jestestw”, których istnienia wcześniej nikt nie uznawał, na tyle skutecznie, że inne „jestestwa” godzą się na to bez sprzeciwu. Inna, niezwykle często stosowana strategia, nazywana jest „władzą”. Mocne „jestestwo” może skutecznie narzucać swoje wyobrażenia innym, i w konsekwencji, myśli „jestestw”, na które oddziałuje, stają się coraz bardziej podobne do jego własnych. Stopniowo „jestestwa” przestają tworzyć własne wyobrażenia, ograniczając się do przyjmowania tego, co sugeruje

im ich władca i tym samym potwierdzają rzeczywiste istnienie jego oraz jego wytworów, same uzyskując w zamian poczucie bezpieczeństwa, jakie daje bycie uznanym przez tak mocne „jestestwo”. Ostatecznie



1

2

3

O NAS

KONTAKT

SPIS TREŚCI

ARCHIWUM



LATO
2006

podległe „jestestwa” mogłyby stać się tożsame z „jestestwem” nadrzędnym, czyli po prostu stać się nim samym, jego częścią. „Jestestwo”, które osiągnęłoby najwyższy stopień władzy nad wszystkimi pozostałymi, stałoby się jedynym, absolutnym bytem - możemy nazwać je Bogiem. Jednakże wówczas nie byłoby już żadnego „jestestwa” mogącego uznać jego istnienie. Wobec tego boski byt musi zrezygnować z idealnej jedności i ulec podziałowi na odrębne od siebie „jestestwa” - w taki sposób z Boga wyłania się świat.

Naprawdę warto uznać istnienie Boga. Dla wprawnego twórcy jest on niezastąpioną metafizyczną łatą na wszelkie systemowe dziury, a wszystkie nieścisłości i zaniedbania można bez obaw złożyć na jego nieskoń-

czone barki. Prawdziwie wzorcowy przykład posługiwania się Bogiem dał nam Mistrz Berkeley. Ów dzielny mąż nie przeląkł się zgrai krytyków którzy wołali np.: *Jak to jest, że zawsze znajdujemy rzeczy tam gdzieśmy je zostawili, choćby i przez rok jako niepostrzegane nie istniały?* Berkeley miał w koncepcji swojej Boga, miał więc też odpowiedź: *Bóg zawsze wszystko postrzega, a zarzuty szanownych panów są całkowicie bezzasadne.*

Wiele można nauczyć się także od jednego z najstarszych metafizycznych autorytetów - Mistrza Parmenidesa. Na swojej drodze Słowo „byt” znalazł i wyszło mu, że żadnego ruchu ni zmiany nie ma. W jego koncepcji perfekcyjnie uwidacznia się jeden z głównych warunków, jakie każda dobra metafizyka musi spełnić: całkowity brak praktycznego znaczenia. Jedni uważają,

że rzeczy ruszają się i zmieniają, podczas gdy inni twierdzą, że jedynie przez nasze zmysły postrzegamy je tak, jak gdyby się ruszały i zmieniały - niezależnie jednak od wybranej opcji, wszyscy w praktyce będą ruszać się i zmieniać tak samo. Nawet Zenon, sprytny uczeń Parmenidesa, mimo, iż wymyślił cztery przebiegłe argumenty przeciw ruchowi (a choćby wymyślił ich i 40!), nie mógł za ich sprawą zaszkodzić cudownej „pozapraktyczności” cechującej teorię jego Mistrza. Jeszcze nikt po ich usłyszeniu nie znieruchomiał, a Diogenes zaczął wręcz chodzić.

Podobnie materialści stwierdzają, że materia istnieje, a immaterialiści, że tylko postrzegamy wszystko dokładnie tak, jak gdyby istniała. Czy jednak twierdzenie, że materia istnieje znaczy tak naprawdę coś innego, niż twierdzić, że postrzegamy wszystko dokładnie tak, jak gdyby istniała? Tak czy owak wszyscy postępują jakby istniała (i bardzo słusznie, w końcu postrzegają tak, jak postrzegają). W razie dalszych wątpliwości można sięgnąć do dzieł Mistrza Leibniza, który wyjaśnia jak to rzeczy nie oddziałują na siebie, lecz jedynie zachowują się dokładnie tak, jakby oddziaływały.

Twórca metafizyk nie musi się więc obawiać, że jego teoria wpłynie znacząco na jego życie, zmusi do zmian, nakaze odejście od tego, co lubi i do czego przywykł. Metafizyczne wytwórstwo to zadanie lekkie i przyjemne, a jednocześnie znaczne uznania i płynące z niego korzyści przynieść mogące. Wystarczy tylko znaleźć odpowiednie Słowo. Może ananas?

Błażej Skrzypulec



O NAS
KONTAKT
SPIS TREŚCI
ARCHIWUM

SKOMENTUJ
ARTYKUŁ